

FUNDACJA

"Archiwum i Muzeum Pomorskie

Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek"

70 Toruń, ul. Podmurna 93

92 218 66, e-mail: archAK@umk.torun.pl

REGON 87050273R



AK  
Kraków

DROZDOWICZ Celina  
ps. "Rusalka"

3752/MSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — 3752/HSK  
DROZ DOBICZ - MRÓZ Celina  
Rusalka<sup>4</sup>

**I. Materiały dokumentacyjne**

I/1 — relacja właściwa —

I/2 — dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora —

I/3 — Inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora —

**II. Materiały uzupełniające relację** ✓

**III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):** — 1945

III/1 — dot. rodziny relatora —

III/2 — dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 — dot. ogólnie okresu okupacji (1939–1945) —

III/4 — dot. ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 — Inne... —

**IV. Korespondencja**

.....  
.....  
.....  
.....

**V. Wypisy ze źródeł (tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”)** ✓

VI. Katalogi ✓ - 200 - II



II. Materiały uzupełniające relację

- Wspomnienie Celinę Drozdowicz (Mroź, Misior) ps. „Rzeszka” zamieszczone w „Określach Wspomnień” Wrocław 1998 nr. 28. str. od 36-46. K. 6, s. 11 (1-6)



szwaczka zeta Y m III/1  
Celina Drozdowicz (Mróz, Misior) „Rusalka”

„Okrochny Wspomnień” Kraków, 1998 nr 28  
sprawdzić czy Król Drozdowicz zeta Y m  
w 1903 149 ✓ m

## Byłam łączniczką



Zdjęcie autorki z 1946 r.

**Wstęp.** W domu była nas wesoła szóstka — cztery siostry i dwaj bracia. Mieszkaliśmy przy rynku w Dobczycach.

Ojciec — burmistrz miasta, a poza tym hobbyista-muzyk (dyrygował przez siebie zorganizowaną orkiestrą), nie miał zbyt wiele czasu, aby zajmować się dziećmi. Cały ciężar spadł na Mamę. Było nam miło i wesoło aż do wybuchu w 1939 roku wojny światowej. W dniu 2 września, a więc już w drugim dniu wojny nasze miasteczko zostało zbombardowane przez Niemców — byli zabici i ranni. Nasz dom został spalony przez wkraczające wojska niemieckie. Przy pomocy życzliwych ludzi Mama wyremontowała część domu, w którym zaczęła prowadzić małą restaurację.

Dom nasz na zewnątrz wyglądał bardzo mizernie, prawie rudera, i nikt nie przypuszczał, że prowadzi się w nim działalność konspiracyjną, tym bardziej że Ojciec był ciężko chory na serce (zmarł w 1944 roku), a nas było sześćoro dzieci.

W wyniku wielkiego patriotyzmu Mamy, ten niepozorny dom stał się schronieniem uciekinierów wojennych, skrzynką kontaktową, a często i magazynem żywności i broni dla oddziałów partyzanckich działających w okolicy. Mama, mimo że była zajęta wypełnianiem obowiązków rodzinnych i handlowych, prawie od początku wojny brała czynny udział w konspiracji, z czasem wciągając i nas — swoje dzieci — do tej roboty. Współpracowała z AK i BCh. Jak już wspomniałam, nikt nie sądził, żeby w naszym domu mogło się coś dziać, a prowadzona restauracja usprawniała spotkania w niej różnych osób „przy piwie” czy „kieliszku wódki”.

Podczas okupacji skończyłam dwie klasy w konspiracyjnym gimnazjum prowadzonym w Dobczycach; moje siostry i bracia też się uczyli, z tym że w szkole powszechnej.

**Tak się zaczęło.** W dniu 3 maja 1944 r. zostałam zaprzysiężona w organizacji AK w Dobczycach w oddziale „Żółwia” — Franciszka Mroza jako łączniczka, przy-

tego skarbu. Można więc wysnuć wniosek, że „skarb” nie zasilił budżetu PRL, lecz zgarnęli go prywatnie funkcjonariusze UB.

Pisane w maju 1998 r.

Do druku przygotował Krzysztof Wędrychowski

#### *Komentarz Redakcji*

*Redakcja wyraża nadzieję, że zamieszczony powyżej artykuł Zbigniewa Sroczyńskiego zainteresował Szanownych Czytelników, zawiera bowiem szereg cennych informacji o mało znanych faktach z początków konspiracji na terenie Krakowa oraz o wielu jego wybitnych mieszkańcach, których udział w konspiracji i walce z najeźdźcą hitlerowskim do tej pory nie był szerzej znany i opisany w naszej historiografii.*

*Również historia ZOR-u, stanowiąca główny – obok postaci Adama Żeleńskiego – temat artykułu, chyba po raz pierwszy została tak obszernie i dokładnie opisana – przynajmniej w odniesieniu do jego Okręgu nr 3, to jest Okręgu Krakowskiego.*

*Komentarz ten zamieszczamy jednak z innego powodu. W artykule została mianowicie poruszona sensacyjna sprawa zagraniecia przez komunę „skarb”, a raczej funduszu dyspozycyjnego Komendy Krakowskiej Okręgu AK powierzonego Adamowi Żeleńskiemu – jako skarbnikowi tego Okręgu.*

*Sprawa wprawdzie była już podnoszona na łamach „Zeszytów Historycznych WiN-u”, jednak w artykule Z. Sroczyńskiego podane zostały dalsze jej elementy i szczegóły. Na podstawie tych dwóch już teraz źródeł możemy z całą pewnością stwierdzić, iż miał miejsce rabunek funduszu narodowego, jakim były środki finansowe – i to niemałe (złoto, dolary i brylanty) przeznaczone na wspieranie walki z okupantem.*

*W dodatku nie ma żadnych znanych nam przekazów historycznych, z których by wynikało, że środki te przejęła komunistyczna władza. Jest natomiast domniemanie, że skarb ten przejęli dla siebie funkcjonariusze UB, korzystając z naiwnej wiary tragicznej postaci ruchu AK-owskiego, jaką była Emilia Marcelina Izdebska – „Marcysia”.*

*Jest to jeszcze jedna niewiadoma z tamtych czasów. Proponujemy naszym Czytelnikom jej uparte zgłębianie. Namawiamy Was o listy w tej sprawie do naszej Redakcji. Jeśli nawet złodzieje nie mogą już dziś być ukarani, to niech przynajmniej zostaną ujawnieni i napiętnowani.*



11/2

mując pseudonim „Rusałka”. „Żółwia” poznałam wcześniej w niecodziennych warunkach — w jego winnicy na Skrzynce koło Dobczyc. Na stoku niewielkiej górki założył plantację winorośli, której krzaki sprowadził ze Szwecji. U podnóża góry płynęła szumiąca rzeczka. Słodkie owoce i mikroklimat tam panujący ściągał do tego zakątka nie tylko pszczoły i motyle, ale także miłośników przyrody, a przede wszystkim przyjaciół Mroza. Jego winnica była jednym z punktów kontaktowych, spotykano się w niej, by omawiać sprawy partyzanckie. Tam też przychodziłam jako łączniczka. Zauroczenie pięknem winnicy i tenorowym śpiewem Franka oraz jego sławą partyzancką rozbudziły moje pierwsze, nieśmiałe uczucie do Niego. „Żółw” był dowódcą oddziału AK składającego się z ludzi dobranych i pewnych.

Moim zadaniem, jako łączniczki, było przewożenie meldunków, ale również broni, w tym i z Krakowa. Podobnie pracowały moje siostry, a także bracia — „małolaty” Włodzio i Wawruś pod kierunkiem i opieką Mamy.

W czasie spotkań dowódców AK i BCh, odbywających się niejednokrotnie w naszym domu, cała rodzina stała na czatach narażając się na aresztowanie i dalsze konsekwencje.

Względny spokój trwał do 12 września 1944 roku. W tym dniu wojska niemieckie rozpoczęły otwartą walkę z oddziałami partyzanckimi na zboczach Kamiennika i Łysiny oraz pacyfikację Lipnika i Glichowa. Walki trwały do 17 września. W czasie walk na szosie do Wiśniowej nad potokiem glichowskim został ciężko ranny dowódca oddziału AK „Żółw” — Franciszek Mróz.

**Włączona do akcji.** W dniu 12 września 1944 r. byłam w domu, gdy dowiedziałam się o walce naszych oddziałów partyzanckich z niemieckim wojskiem pod Glichowem. Pożyczyłam rower, zabrałam torbę z opatrunkami, a moja siostra Tosia przygotowała potrzebne przybory do udzielenia pierwszej pomocy medycznej. Mama zrobiła znak krzyża nad naszymi głowami, spojrzała na resztę rodzeństwa, a jej oczy jakby mówiły: „Gdyby nie oni, poszłabym z wami”. Wybiegłyśmy pospiesznie z domu. Tosia wraz z łączniczkami poszła przez lasy, a ja na rowerze pędziłam co sił, aby jak najszybciej dotrzeć do oddziału „Żółwia”.

Choć jechałam bardzo szybko, wydawało mi się, że droga wlecze się nieskończenie długo. Odgłos strzałów znad potoku glichowskiego dochodził do moich uszu. Wreszcie dotarłam do celu. Ciężko rannego „Żółwia” niesiono do punktu opatrunkowego, gdzie sprowadzony przez „Jaskółkę” dr „Lech” (Zbigniew Otto) opatrzył rannego<sup>1</sup>.

1 Od Red.: Wspomniano o tym w wywiadzie z Zofią Lenartowicz ps. „Zorza”, pt. *Szpital polowy, „Okrucy...”* nr 14.

„Żółw” trzymał się dzielnie. Mimo wielkiego bólu, który malował się na jego twarzy, rozglądał się dookoła i pytał: „Czy moi chłopcy żyją?”. Należało „Żółwia” przewieźć w bezpieczne miejsce, gdzie mógłby dojść do zdrowia.

Przeniesiono go na wóz konny, którym powoził Ludwik Jeż z Dobczyc.

**Walka o życie rannego „Żółwia”.** W bardzo trudnych warunkach wyruszyliśmy z rannym „Żółwiem” przez las na wyznaczone miejsce. Po wyboistej leśnej drodze, omijając Samulki, Kornatkę, Brzozową, zbliżyliśmy się do Dobczyc. Najbardziej niebezpiecznym odcinkiem była przeprawa przez most na Rabie, bowiem mogliśmy się natknąć na niemieckie oddziały. Mineliśmy most i wóz ruszył w górę do Słojowic, a następnie do celu — do Zakliczyna. Wyboista droga wyczerpała rannego, a ból stawał się coraz większy. Słyszeliśmy (Tosia i ja) z boku wozu. Było z nami kilku partyzantów wysłanych jako osłona swojego dowódcy.

Do małego dworku w Zakliczynie dotarliśmy o brzasku. Właścicielka, uprzedzona, że będziemy, przygotowała wszystko, co było potrzebne dla rannego.

Ja i moja siostra Tosia, która była wykwalifikowaną pielęgniarką, zostaliśmy przy ciężko rannym. Mimo lekarstw i naszej opieki „Żółw” gorączkował i jego rana ciągle krwawiła.

Dwór był mały, trzeba było więc zachować wielką ostrożność, aby ukryć przed ciekawskimi co się dzieje na jego terenie.

Zawiadomiliśmy Mamę, że zostaniemy dłużej w pewnym miejscu. Przez noc i dnie czuwałyśmy na zmianę przy rannym. Aby nie wzbudzić podejrzeń swoją nieobecnością, musiałam po kilku dniach wrócić do domu. Na moje miejsce przybyła łączniczka „Sławka” (Sławomira Iskierska) z Dobczyc, wykładowca w konspiracyjnym gimnazjum. Tosia pozostała ze „Sławką”.

Po pewnym czasie przewieziono „Żółwia” — dla bezpieczeństwa — do Łyczanki, do gospodarza Chwistka, gdzie go życzliwie przyjęto. Rana nie chciała się goić, rannemu dokuczał ogromny ból, a gorączka trawiła jego organizm. Wezwany lekarz po zbadaniu „Żółwia” orzekł, że należy przewieźć go niezwłocznie do szpitala, ponieważ grozi mu gangrena. Aby chory mógł być przyjęty do szpitala w Krakowie, trzeba było zdobyć dla niego „lewe” dokumenty. Wreszcie cierpiący ranny znalazł się w krakowskim Szpitalu Bonifratrów. Po natychmiastowej operacji i dzięki opiece oddanych lekarzy „Żółw” zaczął powoli wracać do zdrowia.

Często odwiedzałam go w szpitalu. I tak utwierdzało się moje uczucie do „Żółwia”.

„Żółw” cierpiał nie tylko fizycznie, ale i psychicznie, chciał bowiem jak najszybciej wrócić do oddziału, aby dalej prowadzić walkę z okupantem.



113

**Koniec wojny i walka z nowym okupantem.** W tym czasie przez Kraków, Dobczyce i okolice przeszedł front. Koniec działań wojennych zastał niezupełnie wyleczonego „Żółwia” w szpitalu. Po podleczeniu wrócił do rodzinnego domu.

Koniec okupacji niemieckiej nie przyniósł jednak oczekiwanej wolności, nastąpiła tylko zmiana okupanta.

Urząd Bezpieczeństwa chciał, by „Żółw” się ujawnił. Gdy zgłosił się do Myślenic i dowiedział się, że zostanie wywieziony na Sybir, szedł „do podziemia” i tak zaczął się jego drugi etap życia — droga ciężka i żmudna — walka z czerwoną zarazą.

Wiosną 1946 roku stworzył oddział partyzancki, przyjmując pseudonim „Bóbr”. Do oddziału zostali włączeni sprawdzeni już w konspiracyjnej pracy: Stanisław Suder „Dzik”, Zdzisław Lisik „Mściciel”, Eugeniusz Antoniewicz „Wojas”, Józef Manterys „Dąb”, Marian Sroka „Rybka” i Stefan Jachimczak „Granit”. Niestety, do oddziału przeniknął ubecki konfident, w wyniku czego po pewnym czasie zostali oni aresztowani. „Bóbr” z ukrycia działał dalej. Nawiązał kontakt z władzami podziemia w Krakowie przez swojego dawnego dowódcę por. Juliana Oczko „Podkowę”. Kontakt z „Podkową” trwał do końca 1946 r. — a ja byłam łączniczką. Skrzynką kontaktową w tym czasie był w Krakowie „Radwan”, do którego woziłam meldunki.

Kontakty z dawnymi działaczami były trudne. Ludzie się zmieniali; jedni pod wpływem strachu przed represjami UB, inni, gdyż stracili ducha walki, a jeszcze inni, ponieważ nie umieli znaleźć odpowiedzi na pytanie: po co to i dlaczego? Nikt nie był pewien jutra; niektórzy ujawnieni zostali wywiezieni na Sybir, jak np. Bolesław Baran z Dobczyc, inni zostali osadzeni w różnych więzieniach w Polsce.

**Moja praca w podziemiu.** „Bóbr”, po włączeniu się w pracę w podziemiu, skontaktował się ze mną, przydzielając mi pracę łączniczki. Woziłam do naszych władz podziemia w Krakowie meldunki o prowadzonej dywersji w powiatach: myślenickim, limanowskim i bocheńskim, o liczebności działaczy podziemia, o ilości broni zachowanej z okresu partyzantki. Meldunki te przyjmował Julian Oczko „Podkowa”, a czasem „Radwan”. Najważniejszą jednak sprawą było zdobywanie broni, ze względu na budzącą się nadzieję, że niedługo nadejdzie czas, by rozprawić się z najeźdźcą ze wschodu.

Pewnego razu otrzymałam polecenie od „Bobra” przerwania broni z Krakowa do jego oddziału<sup>2</sup>. Skorzystałam z samochodu ciężarowego Bolesława Walasa, który nie zdawał sobie sprawy z tego, co będzie przewoził. Na stadionie

---

2 Od Red.: Potwierdzone to zostało w protokole z przesłuchania Franciszka Mroza, patrz: Apolonia Ptak, *Prawem Wilka*, Kraków 1995, s. 70.



Olsza w Krakowie już czekali łącznicy. Jednego z nich dobrze znałam. Załadowano na samochód skrzynie z bronią i amunicją (w sumie 8 sztuk), po czym udaliśmy się na punkt, gdzie czekali na nas pasażerowie jadący do Dobczyc. Kilka osób rozsiadło się na ławkach, pod którymi były skrzynki z bronią i amunicją. Szczęśliwie dojechaliśmy do Dobczyc. Pasażerowie wysiedli nic nie wiedząc o zawartości skrzynek pod ławkami. Samochód rozładowano w naszej stodole, a w nocy ładunek dostarczono przez łączników „Bobra” do jego meliny.

Nasza Mama, wtajemniczona w moją działalność, z troską patrzyła na mnie, zdając sobie sprawę z tego, że za podejmowanie takich zadań grozi mi kara śmierci — i to nie tylko mnie, ale może i całej rodzinie.

Rok 1946 obfitował w wielkie dla mnie wydarzenia. Wozilał nadal meldunki do Krakowa. Otrzymałam też dodatkowe polecenie, a mianowicie: wziąć udział w uwolnieniu więźniów politycznych z więzienia św. Michała w Krakowie<sup>3</sup>. Przybyłam na spotkanie z łącznikiem „Zdzichem”. W pobliżu muru więzienia czekaliśmy na wystrzał sygnalizujący, że akcja się zaczęła. Serce mocno tłukło mi się w piersiach. Gdy „Zdzich” spostrzegł moje zdenerwowanie, wsunął mi w dłoń maleńką maskotkę — słoniu — i powiedział: „to na szczęście”. W tej chwili rozległ się wystrzał. Brama więzienia otwarła się z hukiem i z jej wnętrza zaczęli wybiegać więźniowie, a my kierowaliśmy ich do przygotowanego samochodu ciężarowego. W tym tłumie podbiegłam ze „Zdzichem” do wskazanego przez niego więźnia i szybko odprowadziliśmy go do znajomych na ulicę Grodzką.

Po krótkiej chwili w więzieniu św. Michała rozległ się alarm. Wojsko i milicja rozpoczęły represje w Krakowie. Długo jeszcze miałam w oczach obraz tego zdarzenia. Dla mnie był to pamiętny rok.

Uczęszczałam do gimnazjum w Dobczycach, bowiem — mimo swoich obowiązków łączniczki partyzantów podczas okupacji, a i po wojnie — nie zapomniałam, że muszę się uczyć.

Na Podhalu w tym czasie działał oddział „Ognia”. Ubeckie prowokacje niszczyły dzielnych partyzantów, którzy w dalszym ciągu podejmowali walkę z czerwonym reżimem. Franciszek Mróz „Bóbr” z Józefem Miką „Leszkiem” działał z ukrycia. Podstępny prowokator ubecki Stróżyński-Reniak, dawny żołnierz AK, wkradł się w podziemną organizację Mroza i Miki, a będąc jej członkiem, wiedział o wszystkich działaniach tych dzielnych partyzantów,

---

3 Od Red.: Szczegółowy opis akcji na więzienie św. Michała w Krakowie w dniu 18 sierpnia 1946 r. zawarty jest w artykule Zbigniewa Paliwody, *Zarys działalności jednego z oddziałów poakowskich w woj. krakowskim*, „Okrucy...” nr 11, s. 67-74; także: Stanisław Piwowski, Jacek Salwiński, *Rozbicie więzienia św. Michała w Krakowie 18 VIII 1946*, Kraków 1997.

11/4

w wyniku czego zostali w 1950 r. po kolei aresztowani i osądzeni za działalność — według UB — wrogą Polsce.

**Aresztowania 1946 r.** Było to 10 listopada 1946 roku. Byłam na lekcjach w gimnazjum w Dobczycach, gdy zostałam wywołana przez dyrektora do kancelarii. Tam czekało dwóch „panów”, którzy powiedzieli krótko: „pójdiesz z nami”. Od razu zorientowałam się kto to, tyle że nie wiedziałam, gdzie mnie zabierają, co wiedzą i kto mnie „wsypa”. Jechaliśmy odkrytym samochodem ciężarowym; mnie posadzono na pace, otoczoną żołnierzami KBW. Listopad tego roku był wyjątkowo zimny, wiatr mroził dotkliwie, tym bardziej, że na mundurkę gimnazjalny miałam narzucony jedynie cienki żakiet. Nie pozwolono mi nawet pożegnać się z Mamą i rodziną.

W Dobczycach zawrzało — ktoś „sypa”. Zaczęły się aresztowania ludzi częstokroć niewiele mających wspólnego z działalnością partyzancką. Wśród licznych aresztowanych znaleźli się dzielni działacze podziemia z Dobczyc: Stanisław Żurawiński, Stanisław Figlewicz, Władysław Korbas.

Wkrótce aresztowano także moją Mamę i brata Włodzia. Osadzono ich w myślenickim UB, i choć maltretowani — trzymali się dzielnie i nie zdradzili „sprawy”. Na dodatek w tym czasie w naszym domu na poddaszu była schowana broń i amunicja, które tylko dzięki jednemu z bohaterskich partyzantów z Żelbetu II „Mirowi” — Mieczysławowi Michałskiemu zostały na czas wyniesione, co uchroniło Mamę z dziećmi przed wysokimi wyrokami za posiadanie broni. Podczas szczegółowej rewizji nic nie znaleziono.

Po kilku dniach Mama z bratem została zwolniona z UB, lecz ciągle sprawdzano jej obecność w Dobczycach. Jej życie stało się wielką udręką; obawa przed ponownym aresztowaniem i troska o swoje dzieci nadwreżyły jej zdrowie.

Zostałam zawieziona na UB w Krakowie. Tam — z przerwami — noc i dzień byłam przesłuchiwana i torturowana. Wiedziałam, gdzie był „Bóbr”, ale za nic nie zdradziłabym jego miejsca pobytu. Piwnice UB w Krakowie były przepełnione więźniami. Zewsząd w budynku dochodziły nieludzkie krzyki bitych na przesłuchaniach.

Po kilku dniach przesłuchań przewieziono mnie, osłabioną i zmęczoną, do UB w Myślenicach, gdzie — jak powiedziano — mają „Mroza”. Ta wiadomość mną wstrząsnęła. Z przerażeniem myślałam o tej konfrontacji. W piwnicy UB spotkałam wiele osób z Dobczyc, między innymi Józefę Bergiel, która mimo podeszłego wieku i tortur dzielnie się trzymała. Twierdziła, że nie ma tu „Mroza” i że go nie złapali. Ta wieść dodała mi sił i wiary, że może będzie lepiej.

I znów przesłuchania, siedzenie na krześle całą noc — z krótkimi tylko przerwami — oblewanie wodą, gdy omdlewałam. Już nad ranem upadłam na podłogę, a jeden z ubeckich oprawców kopał mnie w kręgosłup; straciłam



przytomność. Znalazłam się w piwnicy na betonowej podłodze. Z przerażeniem myślałam o dalszych przesłuchaniach.

Obolała, ledwie idącą, popychając zabrano mnie na piętro na dalsze przesłuchanie. Pytania zawsze te same: gdzie Mróz, gdzie broń, kto należał do organizacji. Moja stała odpowiedź, że nic nie wiem, kończyła się biciem w twarz, kopaniem i wrzucaniem do piwnicy. Byłam tak słaba fizycznie, że trudno mi było się poruszać. Jedyne co mnie trzymało, to świadomość, że nie mają „Bobra”.

Raz po całonocnym przesłuchaniu, przy zmienianiu się ubeckich oprawców, zaprowadzono mnie do piwnicy, gdzie stała wanna pełna zakrwawionej bielizny męskiej. Kazano mi ją prać, mówiąc: „To z twojego bohatera”. Woda była lodowata, a ja musiałam prać ręcznie. Ubek stał nade mną i wrzeszcząc ponaglał. Wreszcie przyszedł inny funkcjonariusz i krzyknął: „Marsz na przesłuchanie”.

Po kilku godzinach przesłuchania doszłam do wniosku, że naprawdę nie mają „Bobra”, bo gdyby go mieli, zarządzono by konfrontację.

Po kilku dniach leżenia w mokrej, ciemnej piwnicy, na betonowej podłodze — zachorowałam. Męczyła mnie gorączka, coraz silniejszy kaszel nie pozwalał nawet zdrzemnąć się. Nie udzielono mi żadnej pomocy, ale jakoś mój młody organizm zwalczył chorobę.

Przewieziono mnie znów na UB w Krakowie. Zaczęto mi tam wmawiać, że przewoziłam broń, że są świadkowie. Ze strachem powiedziałam: „Proszę o konfrontację”, za co dostałam tak mocno w twarz, że spadłam z krzesła, po czym zabrano mnie do piwnicy. Prosiłam Boga, aby dał mi siłę wytrwania albo śmierć — a przecież tak naprawdę nie chciałam jeszcze umierać!

Tortury fizyczne i nękanie psychiczne nasuwały nieraz myśl: a może rzucić się z okna czwartego piętra? (a okno prowokacyjnie było zawsze otwarte).

Po wielu dniach i męczących przesłuchaniach zostałam przewieziona do więzienia na Montelupich.

**Więzienie na Montelupich.** W celi więziennej byłam najmłodsza wiekiem. Było nas osiem osób. Starsze panie oddane „sprawie”, wielkie patriotki, starały się podnieść mnie na duchu. Dały mi namiastkę miłości i troski mojej ukochanej Mamy. Pamiętam i z rozrzewnieniem wspominam najstarszą z grona panią, zwaną „Babcią”, która pracowała w Teatrze Słowackiego w Krakowie — wpadła idąc z meldunkiem. Pamiętam również panią Piwocką, która została skazana za przenoszenie broni — serdeczne, dzielne kobiety-Polki. O domu i Mamie dowiedziałam się po otrzymaniu paczki, w której znalazłam niebieski szydełkowy sweterek, zrobiony przez moją Mamę, i wszyty maleńki srebrny medalik Matki Boskiej Częstochowskiej. Była to dla mnie największa duchowa podpora.

**Święta Bożego Narodzenia w więzieniu na Montelupich. Wigilia.** W naszej celi na jednej z prycz ułożyliśmy kawałki chleba. Łamiąc się chlebem-opłatkiem złożyliśmy sobie życzenia, aby dożyć Wolnej Polski. Szloch dławił słowa; serdeczne uściski — to dalsze nieme życzenia.

Zegar wybijał północ, gdy rozległo się obok w męskiej celi donośne śpiewanie kolędy: „Wśród nocnej ciszy”. Słowa podchwycili inni więźniowie i w całym budynku rozległo się głośnie kolędowanie. Poderwało to strażników. Z wściekłością walili w drzwi cel. Rozbłysły światła. Wszystkich więźniów wypędzono z cel na korytarz. Kazano ustawić się w szeregu na baczność — i tak nas trzymano przez około trzy godziny. Pilnowani więźniowie, w postawie na baczność, z trudem znosili tę udrękę. Kolędy „Wśród nocnej ciszy”, śpiewanej w więzieniu, chyba nikt z nas do końca życia nie zapomni.

Jakaś moc, jakaś wewnętrzna siła dopomogła nam wytrwać do świtu zimowego dnia Bożego Narodzenia. Następnego dnia — Święto Bożej Dzieciny — upłynął na modlitwie o lepsze jutro. Pod bramą więzienia stali krakowscy patrioci, dając wyraz wspólnego z nami świętowania.

**Proces.** W dniu 2 lutego 1947 r., po czteromiesięcznym pobycie w różnych więzieniach, odbyła się moja rozprawa, na której zasądzono mi 2 lata w zawieszaniu. Wyszedłem na wolność, lecz na jaką? Los dla mnie nie był łaskaw.

**Tułaczka.** Spod bramy więzienia zabrał mnie krewny i wywiózł do Rzeszowa, ponieważ otrzymał wiadomość, że mam być ponownie aresztowana. Nie mogłam się zobaczyć z rodziną. Musiałam się ukrywać. W Rzeszowie nie zabawiłam długo. Zainteresowanie moją osobą sprawiło, że dla bezpieczeństwa osób, u których się ukrywałam, jak i własnego, musiałam zmienić miejsce pobytu. Wtajemniczona w sprawę znajoma nauczycielka udzieliła mi gościny w szkole — kilka kilometrów od Sanoka w miejscowości Srogów Górnym. Jak się okazało, nie było to zbyt bezpieczne miejsce, bowiem w Bieszczadach trwały walki z UPA, w wyniku których wieś, w której się ukrywałam, została spalona przez banderowców, a szkoła — ocalała dzięki temu, że stała na uboczu — została później przez nich zajęta. Ja z nauczycielką, gorącą patriotką polską, uciekłam do Sanoka do jej krewnych. Strach spędzał mi sen z powiek, troska o tych szlachetnych ludzi, którzy mnie ukrywali towarzyszyła mi wszędzie. Wreszcie zakończyła się walka z bandami UPA, życie w Bieszczadach zaczęło powoli wracać do normy.

Tymczasem otrzymałam wiadomość z Dobczyc, że mogę wracać do domu.

**Promyk nadziei na lepsze jutro.** Wróciłam do domu. Pragnęłam czułością wynagrodzić Mamie i rodzinie tak wiele zmartwień z mojego powodu, bo cóż innego mogłam uczynić!?



Podjęłam naukę w liceum w Dobczycach. Zdałam maturę w 1948 r. Po maturze zostałam przyjęta do Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej na wydział humanistyczny, „Seksja Estetyczna” w Krakowie. Otrzymałam miejsce w akademiku przy ulicy Grodzkiej i stypendium, co odciążało Mamę, która żyła na naukę reszty rodzeństwa.

**Kontakt z „Bobrem”.** I znów nawiązaliśmy kontakt: „Bóbr” i ja. We wrześniu 1949 roku wyszłam za mąż za Franciszka Mroza „Bobra”. Konspiracyjnego ślubu udzielił nam ksiądz Muniak w Dziekanowicach obok Dobzyc, u którego bardzo często „Bóbr” się ukrywał.

Romantyczny, partyzancki ślub — bukiet wrzosów dla panny młodej od męża stwarzał nastrój poetycki, mimo niebezpieczeństwa, jakie groziło ze strony UB.

Zaraz po ślubie, dla bezpieczeństwa, pożegnałam męża (niestety było to ostatnie nasze spotkanie), ponieważ „Bóbr” — ścigany przez UB — musiał zmieniać miejsce pobytu, a ja studiowałam w Krakowie. Nikt nie wiedział o moim ślubie. Nie chcąc narazić Mamy i rodziny na aresztowanie, nie poinformowałam ich o moim małżeństwie.

Tęsknota za ukochanymi — Mamą z rodziną i mężem, przy tym nauka — bardzo mnie wyczerpywały.

Zwykle — przed uroczystościami państwowymi, jak 1 Maja czy 22 Lipca i inne — aresztowano mnie jako wroga PRL-u i po nocnym przesłuchaniu wypuszczano na wolność. Żyłam w ciągłym napięciu nerwowym i musiałam wykrzesać w sobie wiele siły, aby to wszystko znieść, a przecież egzaminy należało zdać w terminie. Nie do zniesienia było utrzymywanie w tajemnicy mojego związku małżeńskiego i ukrywanie smutku w wyniku rozłąki.

Skończyłam pierwszy rok studiów i zaliczyłam pierwszy semestr drugiego roku.

**1950 rok — nowa tułaczka.** Do Domu Akademickiego przy ulicy Grodzkiej przyszedł postaniec Edward Kalemba z Dobzyc z ostrzeżeniem, że chcą mnie aresztować i muszę się ukryć. Schronienie znalazłam w Gliwicach u krewnych, gdzie byłam do momentu, gdy spotkałam znajomego. I znów trzeba było zmienić miejsce pobytu. Kuzynka, zaangażowana w podziemiu, zabrała mnie do Zabrza, gdzie też nie byłam długo ze względu na bezpieczeństwo własne i moich opiekunów.

Wyjechałam do Łodygowic koło Żywca. Powiadomiono mnie, że UB szuka mnie u wszystkich krewnych, dlatego musiałam szukać schronienia u obcych a pewnych ludzi. Z Łodygowic pojechałam do Międzybrodzia do księdza Banasia. Niestety, i tu nie było bezpiecznie. Do księdza przyjeżdżali na odpo-

11/6

czynek krewni i znajomi z okolic Dobczyc, tak więc, aby uniknąć spotkania z nimi, przeniosłam się z plebanii do Ośrodka Zdrowia w Międzybrodziu do znajomych siostry księdza. Z pielęgniarką Moniką z Ośrodka Zdrowia jeździłam po lekarstwach dla Ośrodka do Centrali Farmaceutycznej w Żywcu.

**Tragiczny 1951 rok.** Przypadkowo trafiła mi do rąk gazeta, w której donoszono o skazaniu mego męża na śmierć i wykonaniu wyroku w więzieniu na Montelupich w Krakowie<sup>4</sup>. Trudno mi było przeżyć tę straszną wiadomość, tym bardziej, że nadal musiałam ukrywać przed wszystkimi fakt, że byłam żoną „Bobra”.

**Zdradzona — 1954 r.** Gdy szłyśmy w Żywcu do Punktu Farmaceutycznego, nagle usłyszałam za sobą głos „To Celina”. Szepnęłam do Moniki „odejdz” i obejrzałam się do tyłu. Zobaczyłam Marię Kulmę z Dobczyc, idącą z funkcjonariuszem UB, swoim mężem. W tym momencie podszedł do mnie ten ubek i powiedział: „pani pójdzie ze mną”. Maria Kulma szybko się oddaliła — zrobiła swoje — zdradziła swoją szkolną koleżankę.

Zostałam zaprowadzona do więzienia UB w Żywcu. I znów męczące przesłuchania, tortury fizyczne i psychiczne. Ubeki przychodzili i odchodzili drwiąco spoglądając na mnie i dogadując. Dziwiono się ogólnie, że ta mała szczupła osoba jest — jak się wyraził jeden z ubeków — „herszt babą”. Straszono mnie skazaniem na karę śmierci — nic mi jednak nie udowodniono.

Po kilkudniowych przesłuchaniach przewieziono mnie na UB do Myślenic. Przesłuchania, obelżywe epitety załamywały mnie psychicznie, a przy tym moja przyszłość była wielką niewiadomą.

Nie miałam żadnych wieści o Mamie. Bałam się, czy aby moja rodzina nie została aresztowana.

**Powrót do swoich.** Po kilku dniach zwolniono mnie z UB. Wróciłam do domu, do ukochanej rodziny. Makabryczne przeżycia czterech lat ukrywania się wycisnęły piętno na mojej psychice: jakiś ciągły lęk towarzyszył mi w dzień, a w nocy przerywał sen.

Mama przyjęła mnie jak kochająca dziecko Matka pełna wyrozumienia. Ciągła troska i strach o dzieci, zmartwienia, jakich dostarczyłam jej w ciągu tych lat wyorały na Jej twarzy wiele zmarszczek i zniszczyły zdrowie. Jej wielkie serce oddane dla dzieci i wszystkich wkoło biło coraz słabiej i wymagało spokoju.

---

<sup>4</sup> Franciszek Mróz „Bóbr”, dow. OP „Żółw” stracony został 25 VI 1951 w więzieniu na Montelupich w Krakowie — Red.



Ja codziennie musiałam się zgłaszać na Milicji. Nie wolno mi było opuszczać miejsca zamieszkania. Nie było mowy o dalszych studiach.

W 1955 r. podjęłam pracę w aptece w Dobczycach jako niewykwalifikowana laborantka. Szlachetna kierowniczka apteki zagwarantowała moją obecność w pracy, co zwolniło mnie z ciągłego meldowania się na MO.

I tak zakończył się pierwszy rozdział mojego młodego życia łączniczki, a zaczął rozdział drugi wśród drogiej mi osób: Mamie, rodziny i bardzo życzliwych z dawnych lat partyzanckich przyjaciół. Był to już rok 1955.

\*\*\*

Na zakończenie — z potrzeby serca — pragnę jeszcze raz wspomnieć o Mamie. W ciągu mojej czteroletniej tułaczki nie załamywała rąk, ale dopilnowała — uważając naukę za bardzo ważną w życiu — aby wszystkie siostry i bracia zdali maturę i kontynuowali studia pomaturalne. Moje rodzeństwo, ciągle napastowani i prześladowani przez UB, przezwyciężyło wszystkie trudności i zgodnie z wolą Mamie ukończyło studia.

Mama, sterana codziennymi kłopotami i troskami, zmęczona trudami życia, schorowana, zmarła w 1963 roku mając zaledwie 65 lat. Niech te nieudolne słowa będą hołdem za Jej szlachetne, pełne poświęcenia życie będące wzorem życia Matki-Polki.

Do druku przygotował Zdzisław Chwastowski

J. 3752 / WSK

AK  
Kraków

ROZDOUICZ Celina  
ps. „Rusalka”

Nazriszkove karty i informacjme

1



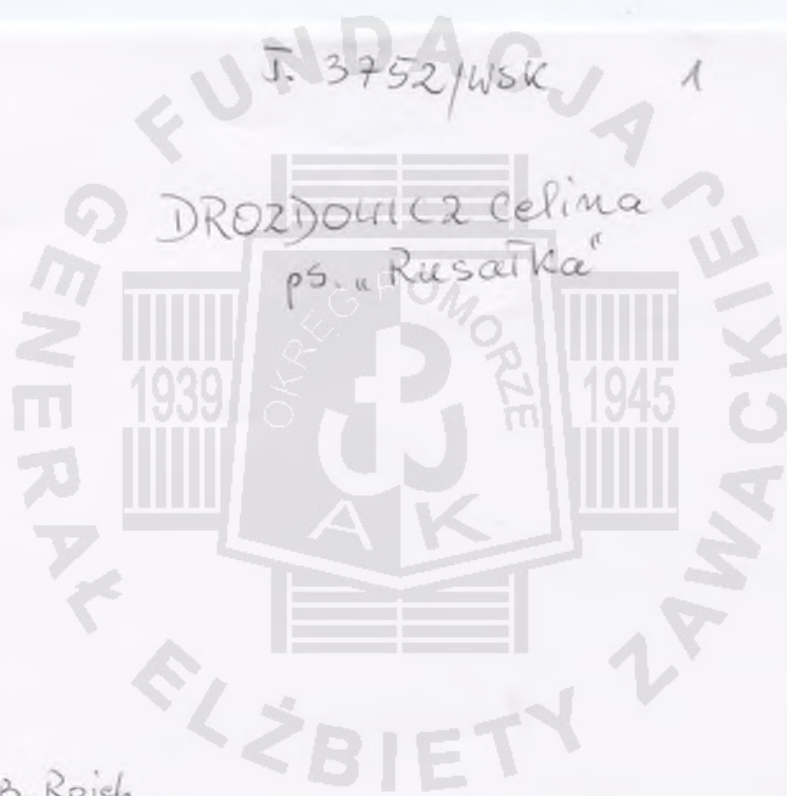
i

J. 3752/WSK

1

AK  
Kraków

DROZDOWICZ celina  
ps. „Rusalka”



2014. B. Rojek

**DROZDOWICZ Celina**

